Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Zlp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Poniedziałek 6 Listopada Nr 2. 1837 Roku.

KRWAWY SKARB.

POWIEŚĆ.

(DALSZY CIĄG.)

—

»Widzisz bracie, żem trochę mocniéjszy od ciebie,« rzekł chirurg, przytrzymując go kolanem pod sobą, »nie ujdziesz mi tak łatwo.« — Złoczyńca, chcąc się wydobyć z pod niego, targnął się raz jeszcze, lecz poznawszy, że nic nie wskóra, nie opiérał się więcéj. — »Puść mię, puść mię; na Boga! panie Zorian,« wołał głosem błagalnym, »cóż ci to szkodzi, że ucieknę, że będę wolny? Wszakżeś ty nie mój dozórca.« — »Jestem nim, pókiś chory. Cóżby mówiono o lékarzu, któremu trupy uciekają?« — »Niktby nie wiedział, a z resztą, coż tobie za to zrobić mogą? Och! zaklinam cię panie doktorze, kochany panie doktorze! puść mię, puść mię, choćby tylko za drzwi! choć krok jeden niech będę za więzieniem; odetchnę świéżém powietrzem. Od czasu ostatniéj ucieczki, wszak wiész o tém panie, że mi nie pozwalają wychodzić... Zaklinam cię, tyś taki dobry, panie Zorian.« — »Nié można, nié można.« — Więzień znowu chciał mu się wyrwać, lecz chirurg trzymał go jak w klészczach. — »Nie ruszysz mi się z miéjsca powiadam tobie; nie chcę, aby mówiono, żeś zadrwił z méj sztuki.« — »Ja będę wolny, ja muszę być wolny!« wołał Wataszka. »...O Boże! tak długo ciérpiałem, a nadaremnie! przez dwa długie miesiące ukrywałem nawet chęć ucieczki; przez całe trzy dni nic nie jadłem, aby zachorować i pójść do szpitala. Tak dobrze udać zmarłego, żeście się wszyscy oszukali! I to wszystko na nic — na nic!... Stanąć u celu i chybić! Och, tego już nadto! tego już nadto!...« — Więzień z wściekło-

ścią tłukł głową o podłogę. » W tych murach żyć nie chcę; bo chcę wrócić do moich gór przed śmiercią; bo chcę odetchnąć góralskiém powietrzem. Pomyśl tylko, już lat dwadzieścia jak niewidziałem skały i nie jadłem owsianego placka! « — » Ależ ani siły twoje, ni wiek po temu, abyś stare rozpoczął rzemiosło. Umrzesz z głodu na twojéj swobodzie, rzekł Zorian. « — Więzień wykrzywił usta śmiéchem pełnym wzgardliwéj chełpliwości: — » Jam bogatszy niż wy wszyscy. « — » Co — tyś bogaty? « — » Zapewne. « — » Toś szczęśliwy. « — Chociaż ten wyraz wyrzeczony był z ironiją, jednak głos chirurga musiał miéć cóś takiego w sobie, co więzień zrozumiał. — » Słuchaj! « mówił po cichu, » chciałżebyś zostać bogatym? Mam tyle, że na dwóch wystarczy. « — » Za kogo mię masz, złoczyńco? « — » Chcę cię bogatym uczynić. « — » Rozumiém — mam należeć z tobą do jakiéj kradzieży? « — » Nie, tylko wziąść, co już gotowe. Pomóż mi uciéc, a podzielę się z tobą. « — » Schowaj te duby smolone dla kogo innego, « rzekł chirurg zawstydzony, że mimowolnie dawał ucho kłamstwom jednego złoczyńcy; » wracaj do sali, i koniec na tém. « — To rzekłszy młody chirurg podniósł się, nie puszczając wszelako obu rąk więźnia. — » Co? nie chcesz mi wierzyć doktorze? « powtórzył z rozpaczą, » głowę ci daję w zastaw, że prawdę mówię; czegoż trzeba, abym cię panie przekonał? « — » Pokaż mi swoje skarby. « — » Tu ich nié mam, tu ich miéć nié mogę; lecz puść mię na wolność, a przysięgam na Boga, że twoja część cię nie minie. « — » Nie wątpię, nie wątpię, mój przyjacielu; a teraz ruszaj, niech cię przykują do muru. « — Więzień stęknął dzikim jękiem. Przez chwilę zdał się być dręczony niepewnością, nakoniec jakby nabrał odwagi: — » Posłuchaj mię! « zawołał, a w głosie jego taki był wyraz prawdy, że chirurg wpatrzył się w niego i już mu wierzyć się skłaniał, » pozwoliszże mi uciéc, skoro ci dowiodę, że nie kłamię? « — » To się dopiéro pokaże. « — » Pozwolisz uciéc? « — » Sądzę, że nic przy tém nie stracę. « — » Przysięgniéjże. « — » Dobrze, przysięgam. « — » Słuchaj więc... u stóp góry Świę

tokrzyskiéj, na drodze ze Słupi do klasztoru, gdzie krzyż kamiénny — otoż pod tą figurą, na sześć stóp w ziemi, schowałem, lat temu dziesięć, szkatułeczkę ze cztérykroć tysiącami złotych w papiérach. « — » Na kimże ten skarb zdobyłeś. « — » Na pewnym podróżnym, któregośmy tam sprzątnęli. « — » Nędzniku! « — » Cztérykroć stotysięcy złotych! « powtórzył więzień tonem tryumfu, » wystarczy na dwóch, nie prawdaż panie! Jeżeli chcesz, połowa summy jest twoja. « — Chirurg wstrząsnął głową: » Dobrze wszystko, tylko w tém sęk, że już więcéj jak lat dziesięć siedzisz tu w więzieniu. « — » Prawda, lecz zapomniałeś o tém panie, że przed dziesięcią laty uciekłem był z Janoszem w góry Świętokrzyskie, i wtenczasto złupiliśmy te skarby. Z obawy pogoni ukryliśmy je na miéjscu uczynku. Nazajutrz żandarmeryja przytrzymała nas na jarmarku. Poźniéj Janosz umarł w więzieniu, a ja sam tylko zostałem pan[illegible]m skarbu. « — Mimo całéj usil[illegible]ści Zoriana okazania się obojętnym, widać było, iż słów więźnia słuchał z natężoną uwagą. Gdy ten przestał mówić, zamyślał się na chwilę, jakby roztrząsał sam w sobie prawdopodobieństwo tego wyznania, lecz nagle wychodząc z téj zadumy, zarumiénił się, spotkawszy wzrok rozbójnika w siebie wlepiony, i rzekł tonem, któremu chciał nadać wyraz żartobliwy. — » Bajka twoja dobrze zmyślona, szkoda tylko, że stara; dziś już nikt nie wierzy w ukryte skarby. Powiédz bracie co lepszego. « — Zbrodniarz zadrżał: » Przez Boga! i ty mi jeszcze nie wierzysz! « — » Wierzę, żeś szczwany oszust, i że lubisz stawiać zamki na łodzie kosztem drugich. « — » Panie Zorian, panie Zorian, miéj litość, chciéj mi wierzyć! Szkatułka jest pod kamiénną figurą; pewny jestem, żebym ją znalazł. « — » Nie fatyguj się. « — » Panie Zorian, dwie trzecie części dam tobie; dwie trzecie części... « — » Dosyć tego... « — » I wszystkie kléjnoty, bo tam są i kléjnoty. « — » Dość tego, mówię; ani słowa, wstań! « — Wataszka zawył z wściekłości, i upadł na ziemię. » Nie wstanę; niech mię ztąd wezmą, ani kroku nie zrobię. Och! nie chcesz mi dać

wiary doktorze! a jednak, panie Zorian to prawda, jak Bóg na niebie... Nie chcesz mi dać wiary! bez szkatułki, jakże ci dowiodę, że nie kłamię? kilkanaście mil tylko między mną a nią, między więzieniem a bogactwem! Panie Zorian; o, pożałujesz tego... Biada ci, nie chcesz mi wierzyć! «— Nieszczęśliwiec tarzał się po ziemi, w szale rozpaczy; a chirurg bił się z niespokojnemi i kuszącemi myślami. Powieść ta obudziła mu w głębi cały ów świat zgubnych żądz, które tylko w nim dotąd drzymały. Z jednéj strony już prawie wierzył słowom więźnia, i gotów był przyjąć jego ofiarę; ale z drugiéj wstrzymywała go hańba takiéj współki i obawa, by go nie zdradził. Jedna z tych uwag przemogła, i chcąc od razu zbyć się wszelkiéj pokusy, przystąpił do zbrodniarza, i wziąwszy go pod barki, usiłował podnieść dla przeprowadzenia do sali. Widząc, że sam nie da mu rady, zniewolon był przyzwać kogo na pomoc. Zamknąwszy drzwi na klucz, wybiegł na dziedziniec, gdzie spotkawszy dwóch stróżów, kazał im iść za sobą.

— Ale gdy się zbliżali do sali sekcyjonalnéj, tuż za murem usłyszeli wystrzał, i w téj chwili jakaś istota naga i skrwawiona pokazała się na końcu dziedzińca. Byłto Wataszka, który zostawszy sam jeden, wymknął się oknem, co szylwach spostrzegłszy, strzelił doń. Zorian w sam czas nadbiegł, aby upadającego przyjął w ramiona; lecz kula pierś mu przeszyła — już nie żył.

II.

Kto nie zna Krzeszowic, kto nie zna téj pięknéj, czarującéj wioski, opasanéj romantycznemi wzgórzami, rzuconéj jakby umyślnie na wzór dla poety, jeżeliby chciał opisywać cuda naszéj ziemi — ten nie dziw, że cudzoziemskie widoki przenosi nad swoje. Skały nagie i góry lasem porosłe, tworzą ramy tego krajobrazu, który dzierzgany kwiatami, ocieniony runami bujnych drzew, to jak suknia baletniczki, migający blaskiem strumyków, wodospadów, wydaje się sztuką haftowanego aksamitu, gdy go rozwiniesz pod słońce. Szczupłość téj ustroni pomnaża jéj wdzięki. Oko od razu obéjmie te dziwy, ucho od razu usłyszy jéj melodyę.

Zgoła nic nie brakuje temu lubemu siedlisku, ni wdzięku, ni potęgi, ni świéżości. Myślałbyś, że Bogu podobało się całą garścią wysypać tu cuda przyrody, które gdzie indziéj rozsiał potrosze. — Piękna ta wieś leży trzy mile od Krakowa. Siarczane wody tutéjsze odkrył doktor Leonhardi, około r. 1780. Owczesny dziedzic, xiążę Czartoryski, kazał tu wzniéść niektóre budowle dla chcących używać kąpieli, ale ostatnie upiększenie i wygody dziełem są księżny Izabelli Lubomirskiéj. Kąpiele te w okresie naszéj powieści wielce były używane, i weszły niejako w modę, bo nawet i ci, których wabiły zagraniczne wody, chętnie szukali zdrowia i rozrywki w ojczystych Krzeszowicach. — W chwili, gdy znowu chwytam nić naszéj historyi, goście używający kąpiel zebrali się byli pod cieniem kasztanów i lip przy Foxalu, miéjscu zgromadzeń i rozrywek — i zabawiali się: mężczyzni pogadanką, kobiety robótkami; gdy w tém pani Bonar z córką swoją pojawiła się w ich gronie. Pani Bonar, mieszczanka krakowska, gdzie, co często lubiła powtarzać, przodkowie jéj bywali rajcami, należała do rzędu owych poczciwych matek, których wszystkie czynności, wszystkie mysli mają cel jeden, a na których czole mógłbyś wyczytać: *córka na wydaniu!* Jeszcze dość młoda po śmiérci swego małżonka, umiała ze swego wdowieństwa utworzyć sobie tak osobliwe stanowisko w społeczeństwie; a jéj nieszczęścia i jéj cnoty stały się niejako własnością publiczną. Gdy córki jéj podrosły, zręcznie użyła powszechnéj opieki, jaką ją zaszczycano, aby trzy starsze najkorzystniéj wydać za mąż; lecz kiedy koléj przyszła na 4tą, doznała trudności, o jakich nigdy się jéj ani śniło. Dom jéj, dla młodych chłopców na ożenieniu, stał się drugą smoczą jamą; widzieli oni, jak trzech tam weszło, i niewróciło na świat; dla tego też stronili od niéj jak od zapowietrzonego domu. Napróżno pani Bonar pokazywała się na balach, na tańcujących herbatach, napróżno wywodziła dzieje swego rodowodu, nikt się nietrafił. Ostatnią nadzieję chciała odszukać przynajmniéj w wodach Krze-

szowickich. W kąpielach, gdzie umysły niczém nie są zajęte, łatwiéj się jest rozkochać, niż gdzie indziéj; ta uwaga skłoniła panią Bonar, iż ze swoją Klementyną od kilku tygodni tam zjechała... Pozdrowiwszy po nazwisku każdego gościa z osobna, i wypytawszy się o wszystkie ich rumatyzmy, spazmy, kurcze i paraliże, zajęła miéjsce, które zrobiono dla niéj i dla nieodstępnéj córki, a rozmowa, przybyciem jéj przerwana, potoczyła się na nowo. — »W rzeczy saméj,« mówiła pewna otyła dama, zaledwo mieszcząca się na dwóch krzesłach, »postępowanie téj panny Gordon bardzo jest osobliwe. Tak młodéj panience przybyć tu saméj — z jakimeś rodzajem guwernantki! do czegoż to podobne?« — »Wcale się temu nie dziwię,« pochwyciła obok siedząca dama w rozumieniu o sobie, że zna obyczaje angielskie, albowiém mąż jéj, chodzący z pszenicą do Gdańska wiele jéj o Anglikach rozpowiadał; »o, nie dziwię się, trzeba bowiém paniom wiedzieć, że panna Gordon, lubo jest Polką, wszelako wychowała się w Anglii; a tam taki zwyczaj, że Angielki podróżują albo same, albo jeźli im się podoba z kochankiem.« — »Co za niemoralność!« zawoła pani Bonar. — »A któż jest ów pan Korybut, który jéj wszędzie towarzyszy? Ona utrzymuje, że to przyjaciel ich domu; ależ na przyjaciela zbyt on uprzéjmy, i wygląda raczéj na czułego *adonisa*.« — »Trochę za stary.« — »Starce téż najwięcéj przepadają za kobiétami takiego charakteru; ów pan Korybut ciepły być musi staruszek?« — »Co za hańba!« wykrzyknęła pani Bonar, »jam tylko biédna wdowa, lecz gdybym miała córkę, jak ta panna Gordon, o wtedy!...« — »Zbyt surowo sądzicie,« przerwała dama, któréj mąż znał Anglików; »w Anglii są inne obyczaje, inne życie, jak u nas...« — »Wątpię czy tam obyczaj, aby każda kobiéta była kokietką. Nie zawróciłaż ona głowy panu Zorianowi, temu wzorowi młodzieży, który mógłby niejednę dobrze wychowaną osobę uszczęśliwić?« — »Ciszéj mówmy,« ostrzegła otyła dama, »otoż i on.« Ludwik Zorian w rzeczy saméj pojawił się na rogu ulicy

lipowéj. Zbliżywszy się wolnym krokiem, pozdrowił całe grono, i nic nie rzekłszy, usiadł na osobnéj ławeczce. — Pani Bonar, to odzywając się kaszlem, to obracając się ku niemu, to robiąc dla niego miéjsce między sobą a córką, odważyła się nakoniec wprost go zaprosić; lecz Zorian grzecznie odmówił. Pani Bonar uraziła się. — » Obecność pańska, « rzekła, » w naszém gronie o téj godzinie — jest niespodziéwaną łaską; zdaje mi się, że o téj porze zwykłeś towarzyszyć na przejazdkę pannie Gordon. Dlaczegoż dziś ta odmiana? « — » Panna Gordon uprzedziła mię wczoraj, że dziś rano nie wyjdzie z domu. « — » Więc zmiéniła zamiar, « rzekła otyła dama, » bo oto od Tęczyna powraca ze swoim nierozdzielnym panem Korybutem. « — Zorian zerwał się z miéjsca. W rzeczy saméj panna Gordon na pięknym anglezie przyczwałowała aż pod wystawę Foxalu. Postrzegłszy Ludwika spłonęła rumiéńcem; jakby z przestrachu skoczyła ze siodła, i wbiegła do pałacu, nie czekając już swego towarzysza. Korybut zdziwiony, pójrzał do koła, niby badając przyczyny tego jéj pomiészania, lecz na widok Zoriana, stojącego w osłupieniu i z pobladłem licem, zrozumiał o co gra idzie, i wznosząc ramionami w znak nieukontentowania, już wchodził we drzwi, gdy Zorian ścisnął go za rękę: » Darujesz pan, « mówił ze wzruszeniem, » lecz chciałbym z nim sam na sam pomówić. « Twarz Korybuta wypogodziła się, zdawało się, że pragnął tego kroku: » Gotów jestem na jego rozkazy. «

(DALSZY CIĄG NASTĄPI.)

DZIÉWCZE.

Błysnęła jutrzénka,
Sklep nocy rozpęka;
Nad bory, nad wzgórza
Twarz słońce wynurza:
Mgły topi złotém okiem,
Rozléwa dzień potokiem.

Mknie wietrzyk przez kłosy,
Na kłosach blask rosy;
Przeleciał przez krzewy
Rozdźwięczne brzmią śpiéwy,
Na łące kwiatów stroje,
Po łące brzęczą zdroje.

Doliną pod gajem,
Nad szklistym ruczajem,
Kwitnące, porywcze,
Jak śliczne to dziéwczę!
Wesołą piosenkę śpiéwa,
Do czoła kwiatek zrywa.

Podbiega to stawa
Wzrok wdziękiem napawa;
Umilkła; znów śmiéchem
Przedrzeźnia się z echem...
O! piękna w kwiecie latek,
Spiéw piękny, piękny kwiatek!

Spiéw nagle ucina...
Jakaż to przyczyna?
I kwiatek precz ciska,
Gniéw z ócz jéj wybłyska....
Co! nawet we łach lice?
Dziéwczęta! o wietrznice!

» Wciąż jedno, odludno,
Wciąż smutno i nudno.
Toż w wieczór, o świcie,
Już nudzi mię życie.
Nie będę kwiatków zrywać,
Już nie chcę nigdy śpiéwać. —

» Jak ustroń ta głucha!
Choć śpiéwaj... któż słucha?
Choć strój się... do kogo?
By stanąć nad drogą!
Przy matce szycie, trudy
Ach nudy, nudy, nudy!

» O gdyby kto młody,
I ładnéj urody
Raz przybył w tę stronę,
A wziął mię za żonę...
O Boże! cobym dała!
O! jakbym go kochała! «

Wybiega młodzieniec...
Twarz krasi rumieniec,
Wdzięk w ustach, wdzięk w oku..
Przesadził zdrój w skoku...
Nim dobiégł... Coś wyrzekła,
Krzyknęła, i uciekła.

ROZMAITE

WIADOMOŚCI.

Pan Ragut architekt jednego z departamentów Francyi, znalazł w szacownym zbiorze opiece jego powierzonym 181 własnoręcznych listów królów i królowych franeuzkich, to jest: jeden Franciszka Igo, jeden Henryka IIgo, jeden Henryka IIIgo, trzy Henryka IVgo, dwanaście Ludwika XIII., jeden królowéj Austryi Maryi Teressy, jeden królowéj Anny Austryackiéj, sto dwadzieścia siedém Ludwika XIV., trzydzieści jeden Ludwika XV., i trzy Filipa Orleańskiego rejenta. Odkrycie to, dla lubowników historycznych rękopismów zapewne pożądaném będzie.

Pewien lord angielski zapłacił niedawno ogrodnikowi w Londynie za jeden krzak georginii 30,000 talarów, ponieważ takowéj listki miały kształt cokolwiek od zwyczajnych odmienniéjsze; szczególny amator!! —

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.